Łowiec Wielkopolski.

Ilustrowany dwutygodnik.

Organ Tow. Łowieckiego w Poznaniu, poświęcony sprawom myślistwa i rybołóstwa.

Abonament do 1-go Lipca br. **2,70** mk. tylko pod opaską. Od 1 Lipca br. także na poczcie **2,50** mk. — **Ogłoszenia** od wiersza trzyłamowego petytem na pierwszej stronie **20** fen., na dalszych stronach **15** fen. — Adr. Administr. Łowca: Dziennik Poznański, Poznań — Posen.

Artykuły, które mają być w najbliższym numerze umieszczone, uprasza się nadsyłać 14 dni przed wyjściem pisma. — Rękopisów się nie zwraca. Adres Redakcji Łowca: **Wł. Janta-Połczyński, Redgoszcz p. Rombschin.**

Nr. 4. **Poznań, dnia 15-go Maja 1907.** **Rok I.**

Wiadomości od wydziału Tow. Łowieckiego.

Szanownym członkom podajemy do wiadomości, iż do wydziału wstąpił przez kooptację p. hr. Gorzeński - Ostroróg, i to w charakterze zastępcy prezesa, natomiast p. mecenas Dr. Celichowski wybrany został w myśl statutu syndykiem Towarzystwa. W ten sposób wydział nasz znajduje się w komplecie.

Nadto zaszła zmiana i w kierownictwie „Łowca Wielkopolskiego“, p. Dr. T. Jaworski złożył urząd redaktora, który prowizorycznie objął pan Wł. Janta-Połczyński (Redgoszcz p. Rombschin), wszelkie więc listy tyczące redakcji uprasza się wysyłać pod tegoż adresem.

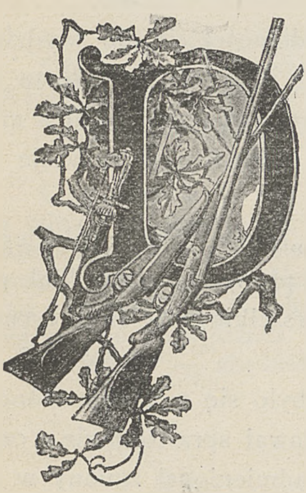
Dnia 9 maja o godz. 8-mej wieczorem odbyło się w hotelu francuskim zebranie Towarzystwa, na którem wydział zdawał sprawozdanie z czynności swych za ubiegły kwartał. Oprócz wyżej nadmienionej zmiany w dyrekcyi zajmowała żywo zebranych sprawa wydawnictwa organu Towarzystwa, który w równej mierze zainteresował ogół miłośników polowania. Cieszy się więc „Łowiec“ nasz coraz większą liczbą czytelników, a coraz liczniej od zwolenników pisma nadsyłane artykuły świadczą najlepiej o jego żywotności i potrzebie. Aby zapewnić sobie stałych korespondencji wybrało zebranie kilkunastu znanych u nas nimrodów, z którymi wydział skomunikuje się i poprosi na stałych współpracowników.

Nie mniej gorliwie zajmował się wydział sprawą lokalu klubowego, którego wyszukanie sprawia nie mało trudności głównie z tego powodu, iż nie łatwo znaleźć odpowiednie pomieszkanie, któreby odpowiadało dla klubu naszego wszelkim a koniecznym warunkom. Zadokumentowała się tu dowodnie ofiarność kilku członków towarzystwa, którzy 400 marek na cel powyższy złożyli. Są więc wszelkie widoki, iż tak ważnej i naglącej dla Towarzystwa potrzebie wkrótce będzie można zadosyć uczynić i wydział wprowadzi członków do własnego gniazda.

Proponowaną i przedłożoną jako model odznakę dla Towarzystwa zebranie bez zmiany przyjęło.

W końcu zastanawiano się jeszcze nad projektem wspólnej wycieczki, przy której odbywałyby się ćwiczenia i popisy strzeleckie. Wycieczkę taką postanowiono urządzić jeżeli się do tejże zgłosi dostateczna ilość ochotników z pośród członków towarzystwa.

O rogaczach.



Dla miłośników łowów nadszedł najprzyjemniejszy czas polowania na rogacze, dla tego niechaj i mnie będzie wolno pogawędzić o tej naszej szlachetnej zwierzynie i rzucić kilka słów przestrogi dla tych, którzy dnia rozpoczęcia polowania doczekać się nie mogą.

Ilość sarn powiększyła się w Księstwie w ostatnich 25 latach niezmiernie i są okolice, w których rzeczywiście sarn jest za wiele i szkody, które one w polach wyrządzają, są znaczne.

Podczas zimowych polowań widzi się często w kotłach i nagankach stada sarn po kilkadziesiąt sztuk, ale przypatrując się im dokładnie spostrzega się, że sarn dużo, bardzo dużo, ale rogaczy stosunkowo nader mało. Ileż to razy zauważyłem, że w stadzie, składającem się z 30—40 sztuk, był jeden dobry rogacz, dwa lub trzy śpiczaki, reszta kozy i koźlęta. Bezwarunkowo zupełnie to fałszywy stosunek, a rezultatem słabe koźlęta i nędzne rogi u rogaczy.

Dawniej, kiedy łowiectwo mniej miało zwolenników, kiedy tylko wyjątki zbierały rogi rogacza jako trofea i cenne łowów upominki, kiedy, jak to się dzisiaj jeszcze w Królestwie i w Galicji dzieje, strzelano do rogaczy tylko podczas zimowych naganek

stosunek liczebny rogaczy i sarn był równiejszy, a rezultatem tego były u rogaczy bezwarunkowo lepsze, grube, rozłożyste, całe perłami okryte rogi. Rogów tych niestety nie podziwiało się w komnatach myśliwskich, tylko czasem u borowych, a najczęściej po składach i warsztatach tokarzy. Właściciel majątku i polowania nie podjeżdżał i nie podchodził rogacza, nie przystanął na niego, tylko strzelał go śiótem na zimowych nagankach, a więc w czasie, w którym rogacze korony swe już były postrącały. Natomiast strzelcy, a w braku tychże, kucharze i ogrodnicy musieli dostarczać sarniny do kuchni i oczywiście strzelając tylko śrótem, strzelali tylko kozy i śpiczaki, bo starszy rogacz jest i był za ostrożny, aby wyjść na strzał dubeltówki. Zgraja kłósowników strzelała i zabijała także po większej części kozy, bo im chodziło naturalnie więcej o mięso niż o rogi, które wtenczas lichy popyt miały. Rezultat tego sposobu polowania był ten, że było wogóle mało sarn, ale stosunek liczebny kóz i rogaczy był równiejszy i spotykano często rogacze bardzo stare z kapitalnemi koronami.

Obraz ten zmienił się zupełnie od czasu, jak weszło w modę zbierać korony rogaczy jako cenne upominki i zdobić niemi ściany swego mieszkania. Zaprzestano strzelać do rogaczy podczas naganek, zakazano surowo personałowi leśnemu strzelać do sarn, a nakazano tem ostrzej uważać na kłusowników i osiągnięto rzeczywiście w krótkim czasie rezultat znaczny, bo sarny rozmnożyły się bardzo, trofea na ścianach są liczne, ale niestety coraz lichsze.

Broń Boże, aby dawniejszy sposób polowania, t. j. bombardowanie każdej kozy garścią śrótu i loftek przez borowych, kucharzy itp. nemrodów rozszerzył się znów u nas. Uważam także za wstrętne strzelanie śrótem do kóz podczas zimowych naganek, jak to się niestety jeszcze bardzo często u nas dzieje. Pada na tych polowaniach mnóstwo kóz, ale niestety dużo także właśnie najmocniejszych koźląt i nareszcie sporo już swych koron pozbawionych rogaczy. A ileż to właśnie najlepszych matek pada na tych »pogromach«, ileż ich pokaleczonych błąka się potem po polach i lasach i przechodzi okropne męczarnie, dopóki zupełnie wycieńczone nie padną na pastwę drapieżników! Nie pojmuję, jak może to komuśkolwiek robić przyjemność, strzelać śrótem do kóz podczas naganek. Przecież sprytu łowczego i perfekcyi w strzelaniu strzał ten do zadyszonej i ze strachu zupełnie oszalałej kozy doprawdy nie wymaga! Rzeczywiście ten, który chce zasłużyć na miano prawego i przyzwoitego łowca, nie powinien nigdy brać udziału w »łowach« tego rodzaju. Pozostawmy tę rozrywkę »Portugalczykom«, t. j. tym, którzy łowów nie pojmują idealnie tylko materjalnie, którzy polują »na mięso«. Wyrównanie stosunku liczebnego sarn do rogaczy powinien koniecznie wykonać właściciel polowania sam, albo też powierzyć to doświadczonym znajomym, lub też dobrze wykształconej straży leśnej. Samo się przez się rozumie, że odbicie nadetatu kóz powinno być uskutecznione tylko kulą i odbija się tylko te kozy, które do chowu już nie są zdatne, a więc stare, jałowe i słabe sztuki, oraz słabe koźlęta, naturalnie tylko w czasie, przez prawo ustanowionym. Stosunek liczebny sarn i rogaczy powinien być

taki, że na 5—6 kóz przypada jeden mocny rogacz o zupełnie wykształconych rogach, nie licząc śpiczaków i młodych okazów.

Wielu łowców strzela swe najlepsze rogacze jaknajwcześniej. Jest to wielkim błędem. Pojmuję, że właściciel małego obszaru, lub małego polowania, otoczony przez nieżyczliwych sąsiadów, starać się będzie zdobyć piękną trofeę, może jedyną na swym obszarze, jak najrychlej, bo obawiać się musi, że ją życzliwy sąsiad na swej ścianie powiesi, albo też sprzeda! Tak sprzeda, bo i to się niestety zdarza!

N. p. Korona rogacza pochodząca z Księstwa, która na tegorocznej wystawie łowieckiej w Berlinie najpierwszą nagrodę sobie zdobyła, udekorowana była napisem: »verkäuflich« — do sprzedania. — Przyznaję się, że sąsiadując z tego rodzaju »łowcem« odbiłbym każdego rogacza, któryby był tyle naiwny zbliżać się do rewiru zacnego »Portugalczyka«.

Właściciel, albo też długoletni dzierzawca rozległych włości, obawy tej o swe rogacze mieć nie potrzebuje. Ten niech odbija wszystkie jako reproduktory niezdatne rogacze o wątłych, nienormalnych rogach jaknajrychlej. Mocne zaś kozły niech oszczędza do sierpnia, i to mu się sowicie nagrodzi. Przecież żaden inteligentny gospodarz, nie będzie używał do rozpłodu w swem gospodarstwie słabych lub niekształtnych reproduktorów, bo wie dobrze, że produkta nędzne by były. Powinniśmy się więc starać także, aby, o ile to tylko jest możebnem, reproduktorami naszej zwierzyny były silne, zdrowe i normalne indiwidua. Mojem zdaniem odbija się wogóle dobre rogacze za wcześnie. Rzadkość to wielka, jeżeli rogacz doczeka się 4 lub 5 lat, a trzeba nam wiedzieć, że normalny rogacz dopiero w ósmym roku najpiękniejszą, rzeczywiście kapitalną koronę dostaje. Mam corocznie sposobność oglądania licznych i stosunkowo pięknych zbiorów koron rogaczy. Rzeczywiście kapitalne okazy rzadko spostrzegam, natomiast ileż to koron normalnych, rozłożystych, które, powiedzmy miały przyszłość i byłyby dorównały tym wspaniałym trofeom, gdyby tylko rogacze, które je nosiły, nie były już w trzecim roku leżały na rozkładzie. Będąc przypadkiem w domu pewnego Niemca właściciela ślicznego majątku w okolicy Poznania zobaczyłem tam zbiór koron rogaczy tak pod każdym względem imponujący, że przekonany byłem, że to rogi nie tutejsze, tylko z zamiłowaniem jako bardzo rzadkie okazy skupowane. Właściciel tego wspaniałego zbioru, zresztą jeden z tych rzadkich Niemców, którzy nam Polakom rzeczywiście są przychylni i nie odmawiają nam racji bytu, objaśnił mnie, że wszystkie te nadzwyczajne korony (około 200), to trofea osobiście i na własnym majątku zdobyte. Nigdy tak wyrównanego zbioru koron wspaniałemi perłami okrytych nie widziałem. Rzeczywiście oderwać się od tego pysznego zbioru nie mogłem i pytałem właściciela, co on robi, że tak imponujące rogacze posiada. Odpowiedział mi, że on z zasady do dobrego rogacza przed ósmym rokiem nie strzela. Rogacze o lichych, nie mających przyszłości rogach, strzela, albo też każe straży leśnej strzelać o ile możności w pierwszym zaraz roku. Zresztą pielęgnuje on

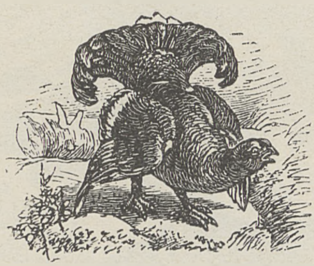


Szóstak w pełnym stroju.

swe polowanie zupełnie prawidłowo i z zamiłowaniem, odbija nadetatowe kozy, strzela kapitalne swe rogacze dopiero w sierpniu i wrześniu, a zimą zadaje zwierzynie paszę. Przekonawszy się, że ziemia uboga we wapno, założył kilkanaście lizawek z domieszką wapna, co bezwątpienia także na rozwój rogów dobry skutek wywiera.

Majątek tego prawidłowego łowca nie jest zbyt obszerny, ziemia średnia, choć w wielkiej kulturze, granice nie wszystkie pewne, a jednak tak świetny rezultat. Najlepszy to dowód, że bardzo wielu z nas łowców ten sam świetny, a co do ilości rocznych trofeów lepszy jeszcze rezultat osięgnąć może, jeżeli tylko przestaniemy uważać naszą śliczną zwierzynę za zwyczajne tarcze, do których się bezmyślnie i na każdą odległość strzela, a zaczniemy ją prawidłowo chodować i pielęgnować, jak to każdy prawdziwy łowiec czynić powinien. Wszystkim zaś, którzy to czynią, lub przyrzekną na przyszłość czynić, wołam: »Cześć Hubertowi!«

Łowiec.



Mój pierwszy cietrzew.

(Z teki myśliwskiej Orlińskiego).

Zdziś wybierał się do wód, jechałem do niego z pożegnaniem. Jestto mój serdeczny przyjaciel, a należy do tych rzadkich braci od św. Huberta, który nie patrzy zawistnem okiem na każdego szaraka, ba i kozła nawet, co nie z jego legł rusznicy. Może nawet jest za mało zazdrosny jak na myśliwego, a przedewszystkiem za mało ciekawy tego, co się w jego rewirze dzieje. Wiedziałam na przykład, że ma w swem łowisku cietrzewie, — jadąc do niego obserwowałem na polance całe stado — nie wspominał mi wszakże o tem, nie z wyrachowania jednak, — nie! za nadto to dobroduszna natura — poprostu nie wiedział o swojem bogactwie.

— Zdzisiu słuchaj, mówię mu po przywitaniu, — prosiłeś mnie, abym doglądał w nieobecności Twej raz poraz rewiru Twego; w nagrodę zostawiasz mi do dyspozycyi klucz od piwniczki; jest to bardzo chwalebną rzeczą, ale wiesz, im starszym tem idealniejszym się staję, wręcz przeciwnie jak się dzieje na świecie, pragnę zatem za posługę idealną nagrody idealnej, a klucz do piwniczki możesz sobie zabrać. Rozumiesz?
— Nic nie rozumiem.

No to będę wyraźniejszym; zaproponuję ci jak szatan Twardowskie-

mu: daj mi za zapłatę to o czem niewiesz.

O czem nie wiem? a to rzecz ciekawa, jeszcze mniej rozumiem. I wzrok Zdzisia wlepił się w mój badawczo. „Tak jest o czem niemasz pojęcia, że jesteś szczęśliwym posiadaczem.“ — Ponieważ żonaty nie jestem, ergo syna przehandlować nie mogę, więc śmiało odpowiem ci, jak stary Twardowski: to rzecz widać nieznaczna, skoro o niej nie wiem; niechże więc będzie. Weź ją sobie.“

Brawo! kontrakt zawarty, cietrzewie dla mnie! zawołałem radośnie. — Cietrzewie? a może być, może być, wiem, że dawniej były, bo powiadał mi o nich borowy Łopatka. Nawet miało ich być kiedyś dużo. Z wycięciem gęstych, nizkopiennych wierzb wyniosły się jednak i nigdy nie pomyślałem o tem, że jakaś resztka może pozostała.

Ależ mężu — nie resztka, bo widziałem całe stado. Kiedy? Dzisiaj właśnie jadąc do Ciebie.

Być może — być może — ale może to były kawki lub gawrony.

Więc zostaw mi te kawki i gawrony — no! jakże zgoda?

„Niech i tak będzie, a żebyś wiedział, jak Cię kocham, i klucz od piwniczki Ci zostawiam.“

„A toś mi brat.“

Następuje serdeczne pożegnanie, z mojej strony nieprzebrana obfitość życzeń szczęśliwej podróży i również szczęliwego powrotu; jeszcze jeden uścisk dłoni, i karosze ruszają.

Słyszę jeszcze: A tylko wszystkich mi nie wystrzelaj!

„A zaś tam! A tylko za szybko nie wracaj“, dodałem, chowając troskliwie klucz od piwnicy — i w różowym humorze jadę ku domowi.

Nazajutrz zaraz z rana udałem się do Łopatki.

„Słuchajcie tylko, Łopatka, a cietrzewie tokują?“

„A jakże, proszę Pana! Już i po połowie kwietnia, to też coraz więcej ich słychać, boć to czas ich weseliska.“

„A czemu to nie powiadaliście już dawniej o nich?“

„Proszę Pana“, rozpoczął Łopatka z miną trochę zaambarasowaną; „jestem człek stary, pamiętam czasy, kiedy tu całe stada cietrzewi tokowały, i nieraz, bywało, wstawało się przededniem, aby ino posłuchać i popatrzeć i ucieszyć serce . . . Jak potem wycięto wierzby i brzozy, a łąkę, kwaśną zresztą i nie wiele wartą, wydzierżawiono między chłopów, tak się i cietrzewie wyniosły, Pan Bóg wie dokąd; zostało jeszcze cośkolwiek, alem nikomu nie mówił nic, bo się bałem, że i tę resztę wystrzelą mi — a ja je kocham . . . i jak przyjdzie kwiecień, a maj, to już i mnie starego noc zastaje w rewirze, byle słuchać i patrzeć. Przed kim innymbym tam tego nie powiadał, ale Panu, to co innego, bo wiem, że i Pan miłuje stworzenia Boże.“ Uścisnąłem w milczeniu dłoń zacnego starca.

„Siadajcie, Łopatka, pojedziemy zobaczyć.“

Po półgodzinnej jeździe byliśmy przy brzegu znacznej, lasem otoczonej łąki. Nie widać nic na razie. Wtem chwyta mnie Łopatka za rękę, i widzę, że nadsłuchuje pilnie, a stare źrenice łagodnym płoną ogniem. Nie ruszam się z miejsca i również wytężam słuch.

„Nie słyszy pan nic?“

„Nic.“

„Tylko wsłuchuj się Pan!.. o, znowu — znowu!“

Jeszcze dobrą chwilę stoję i słucham, chcąc złowić uchem grę tokujących cietrzewi — aż w końcu dochodzą mnie zdaleka tajemnicze dźwięki, przypominające trochę gruchanie gołąbka. Stoimy, jak w ziemię wrośnięci i z lubością słuchamy. Wietrzyk właśnie ustał i . . . . rúlulúlulū, rúlulúlulū, rúlulúlulū . . . delikatnie, trochę smętnie, melancholijnie wyśpiewuje swoją pieśń miłosną wspaniały ptak. Musiało być bardzo daleko, a jednak Łopatka mówi, że i na łące przed nami zwykły tokować. Cofamy się w głąb poblizkiego zagaju, chcąc dalej obserwować; jesteśmy zajęci wycinaniem przeszkadzających oczom gałązek, gdy wtem ostry szum w powietrzu z 50 kroków od nas zwraca uwagą naszą. Cietrzew lekkim a szybkim lotem mknie wprost na łąkę. W samym jej środku się spuszcza — widzimy go doskonale — stoi nieruchomy z szyją wyciągniętą, podobny z daleka do czarnej butelki od szampana. Uspokaja się w końcu i ostre „czchni“ . . i jeszcze raz „czchni“ . . brzmi jakoby wyzwanie rywala na pojedynek; — a my stoimy i patrzymy i napatrzeć się nie możemy. Kogut rozwinął wachlarz jak lirę, czarne napuszone pióra lśnią w słońcu blaskiem stalowym, loty spuścił ku ziemi, głową z prześlicznemi nad oczami „różami“ purpurowemi dumnie trzyma wzniesioną — w każdym ruchu zgrabność, elegancya, i rzekłbyś: świadomość swej piękności.

A my stoimy, i patrzymy i napatrzeć się nie możemy.

Nasłuchawszy się do woli prześlicznej dla serca każdego myśliwego muzyki, cofnęliśmy się ostrożnie z zagaju, niepostrzeżeni przez niezmiernie czujnych ptaków.

„Łopatka“ mówię, „bez jednego lub dwóch obyłoby się w rewirze, co? A w naszej okolicy, to rarytas, dla której już warto kilka nocy poświęcić! Może św. Hubert poszczęści?“

„Ręczę, że Panu poszczęści; tylko już trochę spóźniona pora, aby stawiać budkę.

Teraz łatwo mogą za złe wziąć cietrzewie kręcenie się ludzi po tokowisku — ale spróbować można; zaraz dziś nad wieczorem zajmę się tem. — Niech Pan dobrze spamięta, że od zagaju trzeba koniecznie skręcić na lewo, a potem grobelką już prosto iść ku środkowi łąki. Tam gdzieśmy widzieli dziś cietrzewia, będzie schronisko. Niech Pan tylko grobelki nie przeoczy, bo inaczej Pan dla wody nie przejdzie. Grobla prowadzi do rowu 4 metry szerokiego, a głębokiego; przełożę deski; potem już nie trudno dojdzie Pan do schroniska.“

„Dobrze, Łopatka, Bóg zapłać; budka niech będzie gęsta, wewnątrz obszerna i wygodna. A nie zapomnijcie o otworach do strzału. A teraz z Bogiem.“

„Z Bogiem.“

Lecz nie prędko miały się spełnić gorące pragnienia moje. Pilne sprawy były do załatwienia. Dzień szedł za dniem, minął tydzień, a kwiecień miał się ku końcowi, czyniąc zaszczyt renomie swej, bo od 5 dni znów na dobre wiatr dął od zachodu, oziębiło się, a deszcze, czasami nawet śnieg i drobny grad były codziennem zjawiskiem. Nie wiem, ile razy pytałem się codzień barometru, szukając u niego pocieszenia, aż nad wieczo-

rem 29 kwietnia igła, a z nią i nadzieja moja, poskoczyła potężnie w górę.

Pogoda nastała przepyszna; pogodne, ciepłe noce oznajmiły ostateczne zwycięstwo wiosny.

Nadszedł w końcu dzień upragniony.

Budzik nastawiony na 1. w nocy; przybory wszelkie leżą na stole, aby wszystko było pod ręką; maszynka do kawy z szczególną troskliwością przysposobiona. Już o 9. położyłem się na spoczynek, lecz usnąć nie mogłem. Jak długo leżałem, czekając na błogi sen, nie wiem, ale to wiem, że coraz wyraźniej widziałem życzliwą twarz Łopatki, widziałem zagajenia, łąkę, na niej pełno kawek i wron; w końcu widziałem cietrzewia w pełnym toku tak blizko mnie, że tylko rękę potrzebowałem wyciągnąć, aby go schwycić, i już — już go mam łapać, gdy wtem ostre, ogłuszające rrrrrrrr budzika przerywa mi sen. Na równe nogi wyskakuję z legowiska, roztwieram okno, wytykam głowę . . . . i kamień spadł mi z serca.

Cudowna, cicha noc, na niebios stropie niezliczone gwiazdy. Zapalam okowitę pod maszynką, żwawo się ubieram i podążam ku stajni przekonać się, czy mój Jędrek nie zaspał. Już z daleka widzę światło w stajni; dla pewności wchodzę. Konie już w szorach, a Jędrek wypycha wolant. Zadowolony wracam. Woda w maszynce się gotuje — gaszę płomień — garść mielonej kawy sypię w war — kompletuję ubiór — słyszę, że Jędrek zajeżdża, parzę sobie język zbyt gorącą kawą — i już jadę.

Była godzina pół do 3. kiedy Jędrkowi kazałem stanąć w miejscu, gdzie droga prowadząca ku łące odłącza się od traktu. Dobrzem zrobił, zabierając latarkę, mimo pogodnego bowiem nieba i błyszczących gwiazd było tak ciemno, że z trudnością poznawałem potężne graby po bokach drogi. Zapalam świecę i pełen dobrej otuchy kroczę naprzód.

Droga się kończy; tu jest zagaj, z którego razem z Łopatką obserwowałem cietrzewia; tu miałem skręcić na lewo — skręcam, trafiam szczęśliwie na grobelkę — wreszcie na ów rów szeroki i przez niego przełożoną deskę. Odbyłem tę przeprawę szczęśliwie i trzymając się już prosto stanąłem wreszcie zdumiony. Widzę przed sobą coś — czego tu nie było przedtem — szałas to czy stóg — zdawało mi się już żem zbłądził. Tymczasem ów w mgle rysujący się gmach maleje w miarę, jak się doń zbliżam i poznaję, iż stoję przed budką.

Kunsztowna to robota upleciona z gałęzi — ściśle okryta, a przytem wygodna, nawet o małej ławeczce niezapomniał poczciwy Łopatka.

Urządziłem się też zaraz wygodnie — przez zostawione otwory mam obszerny widnokrąg, sztucer na kolanach, wszystko gotowe: św. Hubercie dopomóż teraz! — westchnąłem.

„Święty Hubercie, dopomóż! Nie dozwól, aby tyle mitręgi miało pójść na marne; — już niechcę dwóch, ale o jednego, to już proszę...“

Mogła być godzina trzecia; naokół spokój ogromny, w uszach dzwoni — cisza, majestat nocy; tylko bekas, najrychlejszy z ptaków już błyskawicznym lotem suwa nad łąką, wydając znany, charakterystyczny odgłos.

Gwiazdy bledną. Widzę już wyraźnie sztucer, a przez otwór najbliż-

szy mogę rozpoznać rząd prątków wierzbowych. Pierwszy brzask dnia. Podnosi się lekki wietrzyk — wtem: „czchni, czchchni... czchchchni...“ Cisza. Tylko serce moje waliło jak młotem; spodziewałem się tych głosów, marzyłem o nich, pragnąłem ich całą duszą, a jednak zelektryzowały mnie. Słucham z całem natężeniem i słyszę coraz dokładniej, coraz częściej, coraz bliżej: czchchni.. czchchchni... rúlulúlulu... rúlulúlulu...

Wzrokiem wiercę w ciemności — szukam — gdy wtem zatrzymują się oczy na czarnym punkcie, doskonale uwydatniającym się na tle szarzejącej już łąki.

Wlepiam weń wzrok — ów punkt porusza się, zbliża, widzę białe pióra wachlarza: tak jest — to on!... Teraz gra; słuch mój łowi z rozkoszą cudowną melodyę! W tej chwili zapomniałem o broni i o moich zabójczych zamiarach. Teraz widzę go doskonale — stoi czterdzieści kroków przed schroniskiem wprost w otwór, wspaniały, pyszny!

Jeżeli w kierunku dotychczasowym dalej się posunie, zniknie mi z widnokręgu. Chwyciłem za sztucer. Lufa wyjrzała z schroniska — i wypowiada swe bezwzględne słowo...

Była godzina 4. Delikatnym różowym blaskiem zabarwione niebo. Zdala dochodzą mnie nawoływania kuropatw; para kaczek, ona naprzód, on za nią, pruje jak strzała fale powietrza, aż gwiżdże; tam cztery sarny zwykłą drogą dążą do lasu — jest już zupełnie jasno.

Różowy blask coraz intenzywniejszy, żywszy, silniejszy, w końcu płonie niebo całe i czaruje cudowną grą kolorów — a koguty, jakby im kto za to płacił, nieustannie tokują, pojedynkują się, wre w nich życie, kipi temperament — zewsząd widać i słychać grę ich, a ja wciąż jeszcze siedzę w schronisku i słucham i patrzę i podziwiam, i wzruszony jestem do głębi tym małym a jednak tak pięknym epizodem na wielkiej scenie przyrody.

Nagle ustaje śpiew ptasząt, ustaje tok cietrzewi, robi się cisza — przyroda oczekuje czegoś... i oto, powoli, majestatycznie wznosi się na widnokręgu promienista słońca tarcz, rzucając złociste strzały ukośnie na myryady drobnych perełek rosy; każdy krzak, każde drzewo, każda trawka świeci się, szkli się, błyszczy, jakby usiana brylantami. —

Stoję przy trofei mojej — sam jeden wśród czarującej przyrody — zdaleka widać wioskę, usłaną w białym puchu kwiecistych jabłoni, a po rosie idą ku mnie głosy dzwonów kościelnych... Anioł Pański...



Rybołóstwo.

Rybołóstwo w maju.

W maju trą się okonie, karpie, dla tego nie powinno się ich łowić. W końcu miesiąca można łowić karasie, węgorze i raki. Woda w stawach powinna być tak wysoko utrzymaną, aby nie występowała po za brzegi z powodu złożonego przez ryby ikra. Z tego samego powodu nie powinno się w takich stawach bydła poić. Stawy trzeba ochraniać w tym miesiącu przed szkodnikami, jak kaczkami, gęśmi, żurawiami itd.

Gospodarstwo rybne we wielkich stawach i jeziorach.

Chcąc pisać o gospodarstwie rybnem we wielkich stawach i jeziorach, trzeba się najprzód zastanowić nad tem, co rozumiemy właściwie pod nazwiskiem „wielkie stawy i jeziora“. Wielkość jest oznaczeniem bardzo relatywnem. W dzisiejszym artykule nie chcę pisać o gospodarstwie rybnem w jeziorach, które mają kilka mil kwadratowych obszaru jak jeziora w Prusach Wschodnich, Meklemburgii, oraz nasze Gopło, ale o takich, które się znajdują w posiadaniu prywatnych właścicieli w Księstwie Te mają zwykle kilka, kilkanaście albo i kildziesiąt mórg obszaru. Jednem słowem o gospodarstwie dzikiem w wielkich stawach i jeziorach możemy mówić tam, gdzie stawów i jezior nie można podług woli albo potrzeby spuszczać i nawadniać. Tam tylko można zaprowadzić racyonalną hodowlę ryb, gdzie poziom wody ręką ludzką może być regulowany. Nie znaczy to, że wszystkie inne stawy i jeziora, gdzie natura jest panią sytuacji, powinny leżeć odłogiem i nic nie przynosić. Owszem wiemy dobrze, że i w nich ryby żyją, rosną i dochód dają. Starać się tylko o to trzeba, aby w nich ryby były.

Jakie ryby nadają się najlepiej do zarybiania tych stawów? Na to pytanie śmiało odpowiedzieć można, że wszystkie te gatunki, które się w naszych wodach znajdują, a więc: karpie, szczupaki, okonie, sumy, karasie, leszcze, raki, węgorze i t. d. Karpie, o których w innym artykule obszerniej pomówimy, doskonale rosną i rozmnażają się w jeziorach. Ich zarybek można dzisiaj bardzo łatwo nabyć od chodowców. Jedna rzecz jest nieprzyjemna u karpi, t. j. że bardzo trudno dają się wyłowić. Zwykle siedzą w mule na dnie wody, śpią, a sieć tylko się po ich grzbietach przesuwa. Opowiadał mi mój znajomy, że w pewnem jeziorze 60-cio morgowem w powiecie czarnkowskim widział, jeżdżąc łódką po jeziorze, może ze cztery morgi wody zasłanej karpiami, które się grzały w słońcu. Ucieszony, zaczął kilka dni potem łowić i przez cały dzień złapał jednego jedynego karpia. Na to już sposobu nie ma, na wędkę łatwiej dają się schwycić, oraz zimową porą łowiąc pod dołem też prędzej je się dostanie. W tej porze zbierają się często koło przerębli, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Ze szczupakami nie ma tego ambarasu, ponieważ szczupak ciągle krąży we wodzie i znany ze swojej żarłoczności szuka pokarmu. Jest on typową rybą jezior, szybko się rozmnaża, szybko rośnie i jest bardzo chętnie kupowanym. Zarybku nie potrzeba nabywać, wystarczy wrzucić do wody mniejsze

szczupaki, a te się szybko rozmnożą. Mniej więcej to samo można powiedzieć o dwóch następujących gatunkach t. j. o okoniach i o sandaczach. Właściwie okonie i sandacze żyją tylko w jeziorach, w głębokiej i czystej wodzie. Sandacze bardzo są poszukiwane i osięgają wysokie ceny. Mimo, że samica wydziela ogromną ilość ikry (naliczono do 400 000 jajek), nie dużo jest tych ryb w naszych wodach. Tłomaczy się zapewne tem, że okonie, szczupaki i sendacze są nadzwyczaj żarłoczne i nawzajem się pożerają. W ostatnich czasach zaczęto w Niemczech sandacze hodować. Na zeszłorocznej wystawie rolniczej w Berlinie widziałem kilka roczników bardzo ładnie wyhodowanych sendaczy. Zatem i w niedalekim czasie zarybek tej ryby można będzie nabywać. Także sumy żyją tylko we większych wodach. Sum jest największym gatunkiem z pomiędzy stałych mieszkańców wód słodkich Europy. Jesiotr dorasta go wprawdzie a nawet bywa znacznie większym, ale ryba ta należy do wędrownych i do nas wstępuje tylko dla składania ikry. Sumy ważące do 300 funtów nie są rzadkością. Przebywa on w rzekach i jeziorach, ale tylko w głębinach, zwykle samotny, żarłoczny, ale nie ugania się za zdobyczą, tylko ociężały, zostaje nieruchomie w miejscu i wąsami wabi do siebie mniejsze ryby. Sumy nie są płodne, u samicy naliczono 20 000 jajek. Liny mniej się nadają do większych wód, ponieważ nie lubią głębiny, a głównie rosną w mniejszych, ciepłych stawach. Na koniec trzeba wspomnieć węgorze i raki, jako doskonale nadające się do zarybiania większych wód. O tych dwóch gatunkach pomówię obszerniej w następnych artykułach.

Aby zbytnio nie wyławiać większych wód, powinien każdy właściciel uważać, żeby łowienie odbywało się tylko w czasie dozwolonym, nie czasem podczas tarła. Dalej powinien każdy uważać, aby wszystkie małe i mniejsze rybki złowione były napowrót wrzucane do wody, w ten sposób zaoszczędzi się sprowadzania zarybku. Nawet gorsze gatunki, jak leszcze i białki trzeba napowrót wrzucać, ponieważ stanowią one doskonały pokarm dla żarłocznych, droższych gatunków. Jeżeli się okaże, ze nie ma wielkiej ilości ryb we wodzie, trzeba rocznie pewną sumę na zarybek poświęcić. Tylko w ten sposób stawy nie zubożeją, lecz dadzą ładny dochód oraz starczą na pokrycie własnych domowych potrzeb i zaoszczędzą niejeden grosz za sprowadzane drogie ryby.

Dr. Roman Lewandowski.



Terminologia łowiecka.

Pod tym napisem, jak to już w numerze 3-cim „Łowca" nadmieniłem, ogłaszać będzie pismo nasze zbiór, czyli nomenklaturę wyrazów łowieckich; wszelkie więc tej kwestji tyczące się materjały są nadzwyczaj pożądane, i proszę osoby sprawą myślistwa się zajmujące o nadsyłanie takowych na ręce niżej podpisanego.

Wszyscy współpracownicy tej dla polskiego łowiectwa tak ważnej sprawy będą w miejscu tem wymienieni, a ich uwagi, uzupełnienia lub poprawki znajdą uwzględnienie. Tak samo rzeczowa polemika dla każdego stoi otworem.

Przy tej sposobności zwracam uwagę, iż wyszła drukiem, jeżeli się nie mylę w początku 18. stulecia, książka łowiecka, rodzaj encyklopedji myśliwskiej, tytułu jej nie pomnę, którą wszakżeż przed 30 laty miałem w ręku i z której ustęp jeden dotyczący psa, odpisałem w ówczesnym konotatniku moim. W najbliższym numerze Łowca nasamprzód on drukowanym będzie. Może tym sposobem powiedzie się odnaleść jaki inny egzemplarz cennej tej książki i tym sposobem zdobyć dalszy materjał do naszego przedsięwzięcia. W każdym razie winniśmy sobie przyswoić formę i sposób w jaki książka ta była wydaną.

Od psa myśliwskiego więc zaczynam i proszę wszystkich interesujących się terminologją o nadsyłanie odnośnych wyrażeń, właściwości i zwyczajów przy używaniu naszego najlepszego towarzysza łowów, wychowaniu jego i tresurze. Uważałbym tylko w naszych stosunkach, gdzie tyle germanizmu do gwary łowieckiej się zakradło, za konieczne, przy pewnych mniej znanych wyrażeniach obok w nawiasie umieścić używane dzisiaj wyrażenia niemieckie. Według mego zapatrywania tylko tym sposobem możemy germanizmy usunąć, jeżeli wykażemy, jakie wyrażenie polskie w to miejsce zastosowane być winno.

Poniżej podaję pisma dotąd w tej sprawie odebrane.

I.

Kiedy ustalenie terminologji różnych zawodów w języku polskim liczne napotyka trudności, język łowiecki w tem dziwnem znajduje się położeniu, że mimo urobienia od dawna, w czasach obecnych — przynajmniej u nas — mało jest używany. Nie wdając się w ocenę przyczyn, które ten smutny objaw spowodowały, twierdzę, że Łowiec Wielkopolski szczerze powinien się zabrać do wskrzeszenia tej starej gwary i tak długo gościnne łamy dla niej otwierać, dopóki ogół polskich myśliwych nie zacznie się nią posługiwać. Że język łowiecki nie jest ubogi, tego przykładem niech będzie zestawienie wyrazów myśliwskich na określenie naszego zająca.

Zając, kopyra, koszlon, ślepak, śpioch, skotak, wacho; bielak — szarak (od ubarwienia), gach (w porze miłostek) — kusy, korpal.

K. Wojczyński.

II.

Język nasz łowiecki jest tak bogaty w wyrazy, że chyba najmniejszej nie mamy potrzeby posługiwać się obcymi wyrazami, a najmniej już z gwary myśliwskiej naszych najserdeczniejszych. Niestety, jak często słyszy się

nietylko z ust młodych ale i starszych myśliwych: spieser, gabler, pyrsz, streifka, wecksel, rückwechsel, i jeszcze bardzo wiele innych, tym podobnych wyrazów, nie mówiąc już o nieznajomości w oznaczaniu czynności łowieckich, gatunku zwierzyny itd.

Językiem łowieckim posługiwali się przodkowie nasi już od wieków, winniśmy więc nietylko znać, ale i z poszanowania posługiwać się tymi licznymi, pięknymi wyrazami łowieckimi, które ongi tak wesoło w ostępach naszych lasów rozbrzmiewały! Przypomnę tylko, jakie to srogie kary, aczkolwiek niemało ku rozweseleniu grona myśliwych, wymierzano dawniej strzelcowi, który przeciw przepisom łowieckim lub językowi myśliwskiemu wykroczył. Otóż przestępcę kładziono na ubitego jelenia lub dzika i wymierzano mu trzy płazy kordelasem. Przy wyliczaniu pierwszego razu wołano: ho ho, to dla JPana, który był najstarszym z obecnych; przy drugim: ho ho, to dla orszaku myśliwych, przy trzecim, to dla szlachetnego prawa łowieckiego. Podczas tego obrządku reszta dokoła stojących strzelców dobywała prawą ręką kordelasa na kilka cali z pochwy. Śmieszny to był coprawda zwyczaj, ale wielce się przyczyniał do zachowania języka i zwyczajów łowieckich. Panów karano tylko stęplem lub dozwolono im się wykupić.

Dziś wcale niepodobnem takie zwyczaje odświeżać, ale potrzeba nam tylko trochę dobrej woli — mniej obojętności, a złemu dałoby się zaradzić. Przedewszystkiem starsi panowie z pod znaku św. Huberta winni świecić dobrym przykładem młodszym — sami nasamprzód wyrażać się tylko prawdziwie po myśliwsku, a gdy w obecności ich wypadnie z jakichkolwiek ust wyraz nie myśliwski, nie powinni przyjmować tego obojętnie, tylko z góry odpowiednio wytłomaczyć — poprawić. Na polowaniach większych nie tylko za samo pudłowanie, ale i za każde wyrażenie się nie po myśliwsku należałoby wyznaczać drobne kary pieniężne. W kolumnach naszych gazet ciągle otwiera się składki i to na wzniosłe cele. Zebrałby się też i fundusik na literaturę łowiecką, dotąd tak bardzo ubogą.

Zresztą, kto nie chce być wyśmianym przez prawdziwych myśliwych, kto jest miłośnikiem polowania, ten koniecznie z językiem łowieckim obeznać się powinien.

Jan Spychalski.

Kórnik, 1. 5. 1907.

* * *

A więc Sz. współpracownicy do zaszczytnego i pożytecznego dzieła przystąpmy złączonemi siłami, a koledzy nasi po za słupami granicznymi, Łowiec Warszawski i Lwowski niechaj poprą usiłowania nasze przez umieszczenie niniejszej odezwy — wszakżeż to sprawa całego łowiectwa polskiego.

W. Janta-Połczyński.



Odpowiedź na zapytanie Pana Andrzeja Żółtowskiego w trzecim numerze Łowca: Latem i na wiosnę nieraz widziałem zające kąpiące się w piasku. Robią one to przeważnie rano, gdy słońce zaczyna przygrzewać, najczęściej jeżeli w nocy była rosa lub po deszczu. Prawdopodobnie chcą się osuszyć a może i pozbyć niemiłych lokatorów zakwaterowanych w ich futerku.

Po kąpieli zając lubi się wyciągnąć w gorącym piasku, co mu widocznie sprawia wielką przyjemność. Ślady tych zajęczych kąpieli spotykamy najczęściej w kolejach piasczystych dróżyn przecinających pola obsiane zbożem lub młode zagajenia.

I ja ubolewam nad zbyt rychłem otwarciem polowania na rogacze. W każdym razie była to nader niefortunna myśl właśnie w tym roku, po tak ciężkiej zimie, ukrócić biednemu rogaczowi jego i tak dość krótki czas ochrony. Cześć myśliwym!

Tarce 3/V. 1907. Gorzeński-Ostroróg.

* * *

W odpowiedzi do art. „Z życia zająca" (Nr. 3 Łowca Wielk.).

Wracając pewnego dnia w miesiącu czerwcu, nad wieczorem z lasu (w Potulicach pod Nakłem 1903 r.), stanąłem na granicy pod zagajem, jak zwykle, na króliki. Tego dnia było bardzo ciepło. Przed sobą miałem ugor z lotnym miejscami piaskiem, przeznaczony na zagajenie. Stałem może dobry kwadrans, gdy z zagajenia, tak na 40 kroków, wyszedł zając i poszukawszy sobie miejsca z lotnym piaskiem zaczął się tarzać, podobnie jak psy wycierają się o padlinę. Nie trwało to atoli długo, może ćwierć minuty, gdyż szarak czemś wylękniony, zerwał się — stawił słupka — i pomknął dalej. Zająca tego znałem bardzo dobrze, gdyż często go o tym samym czasie i w tem samem miejscu żerującego widywałem. Zaciekawiony więc tem jego dziwnem zachowaniem, o ile mi czas pozwalał, stawałem tam częściej na króliki, lecz już drugi raz podobnego spostrzeżenia nie zrobiłem. Dotąd ani książki, ani interpelacje starych myśliwych dostatecznego wyjaśnienia mi nie dały.

Jan Spychalski.

Kórnik, w maju 1907.

* * *

Kongres myśliwski. Pierwszy międzynarodowy kongres myśliwski odbędzie się w Paryżu w dniach 15—18 maja b. r. Zwołują go pp. Ruau, francuski minister rolnictwa i Daubrée, dyrektor wód i lasów, jako marszałkowie, wicemarszałkami będą pp. Alfred Mézières, członek akademii francuzkiej i Jan Dupuy, były minister.

Kongres ten zapowiada się nader interesująco z powodu różnych aktualnych kwestyi, dotyczących myślistwa, postawionych na porządku

dziennym. Setki członków zapisują się w komisarjacie generalnym, rue de Clichy n. 21, Paryż.

Dodać należy, że na kongres ten dopuszczone są kobiety z takiemi samemi prawami co płeć męzka.

Dr. Wacław Swinarski.

* * *

Z pomocą foxterriera wydobyłem 27. IV. z jednej jamy 15 lisów i to: 1 starą liszkę i 14 młodych. 8 należało do jednego gniazda, a sześć do drugiego. Druga stara uciekła. Zdarzenie dość rzadkie, żeby w jednej jamie dwie rodziny mieszkały. Gniazda różniły się znacznie wiekiem i wielkością, mimo to wszystkie młode siedziały w jednej norze i „Siek“ wyciągał na przemian, to większego, to mniejszego lisiaka. „Siek“ mocno pocięty zaraz potem wydobył z innej nory olbrzymiego kota. Św. Hubertowi!

Andrzej Żółtowski.

Godurów, 27. IV. 1907.

* * *

Ponieważ się dużo psów do polowania od niemców kupuje, przeto byłoby bardzo dobrze, gdyby w Łowcu pp. Polacy anonsowali gdzie i kto ma na zbyciu dobre psy do polowania, a niejeden ładny grosz by do polskiej kieszeni wpłynął. Również warto by podawać, kto się zajmuje tresurą młodych psów myśliwskich.

Jacewo 5. 4. 07. Goliwgi.

* * *

Rokrocznie ginie mnóstwo lęgów kuropatwich w koniczynach. Powodem tego jest rychła (wczesna) kośba — a późne lęgi. Pozostawienie wkoło gniazda większego skrawka koniczyny — nie zawsze skutkuje. Aby kuropatwy od gnieżdzenia się w tych miejscach odstraszyć, zaleca się w czasie szukania przez parki odpowiednich schronisk na gniazda, pilnie przechodzenie koniczyn z wyżłem i straszenie ich. Rade nierade przeniosą się w zboża. Dla większej przynęty radzą niektórzy myśliwi zakładać na oziminach w pewnych odstępach sztuczne gniazda z słomy lub trawy. Czy ostatni środek skutkuje, nie wiem. K. W.

Skrzynka do listów.

Staremu myśliwemu z Szamotuł, który autora artykułu: „Kto jest prawidłowym myśliwym“, obdarzył tak ciętym listem odpowiadam: Łowiectwo było zawsze sztuką, a nie procederem; kto pracuje od łokcia kwadratowego namalowanego płótna, nie może być artystą malarzem, lecz tylko rzemieślnikiem. — Zachowaj nas św. Hubercie od tego, ażebyśmy obok rzeźników, krawców, i t. p. mieli jeszcze jeden cech tj. myśliwych od sztuki. Znam takich. i na tej podstawie twierdzić tylko mogę: iż, aby uczciwie we fachu takim pracować i utrzymać się można — nikt nie uwierzy. — Jest to bardzo przykro, pojmuję zupełnie, gdy się jest najętym od sztuki i kury biegną brózdą, lub starą kozę widząc przy koźlaku, wstrzymać się od strzału, przecież to czysty interes jednym nabojem zarobić markę lub więcej, ale to panie czyni tylko rabuś — i daruj, inaczej takiego nazwać nie można. — Gdzież to Pan doczytałeś się, ażebym występował przeciwko strzelcom zawodowym? Przeciwnie ja ich cenię, bo sam ich trzymam, a występuję przeciwko procederzystom, którzy im chleb odbierają. — Pisząc o „rabusiach“ strzelców zawodowych służby i straży leśnej, która również od sztuki jest płatną i płatną być powinna, nie mogłem mieć na myśli. Ci strzelając nie tylko użytkową zwierzynę ale i niszcząc drapieżniki pracują w swoim fachu i dla pożytku łowiectwa. Ci też wykonując myśliwstwo są płatni od sztuki, ale nie tylko od tej, co sami ubiją, ale wogóle od wszystkiej co przez rok cały znajdzie się na rozkładzie. Tak wszędzie być powinno. Tym zaś, którzy przy fachu swoim trudnią się myśliwstwem ubocznie, nie z amatorstwa tylko procederowo, czy są oni torfiarzami. rzeźnikami czy szewcami, odpowiadam z tego miejsca przysłowiem niemieckiem: „Schuster bleib bei deinem Leisten“. W. J. P.

Za redakcję odpowiedzialny Wł. Janta-Połczyński, Redgoszcz p. Rombschin.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.